

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMII.

5) Tłum. z francuskiego.

— Pijak! — dodał z wściekłością prefekt, chwytając gwałtownie za ramię śpiącego. Ramię opadło bezwładnie. Wówczas pan Ducroe potrząsnął nim z całej siły, wrzeszcząc do ucha:

— Zbudzisz się łajdakul?

Śpiący mruknął coś gniewnie i odwróciwszy się — chrapał dalej z całym spokojem.

— Tego za dużo! — krzyknął szef bezpieczeństwa, tracąc resztki cierpliwości. Poczekajno szelmo! I uszczypnął go do krwi.

Śpiący zrobił ruch, jak gdyby odpędzał dokuźliwą muchę, przeciągnął się, ziewnął przeraźliwie i otwierając błędne, pijane oczy, zamamrotał:

— No... dajcie mi spać... chcę spać... spać...

I znowu opadł na fotel.

— Spity jak bela, łajdak! Nic z niego nie wyciągniemy — zawołał prefekt.

— Spity! Jacquet spity! — krzyknęli ajenci w osłupieniu. — Jacquet! który nigdy nic nie pił!...

— Do diabła! — odparł kwaśno Ducroe — to chyba jasne.

Pariset i Prieur spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

— Ostatecznie — ciągnął szef — on jeden mógłby nam dać jakieś wyjaśnienia, a spi jak zabity.

— Zostawmy go tu i przeszukajmy dom — wtrącił nieśmiało Pariset.

— Nic nie znajdziemy — będzie tak jak i wtedy — odparł Pieur, który był świadkiem pierwszej rewizji po zniknięciu barona.

— Skąd pan wie? — zapytał surowo prefekt. I dodał rozkazująco: — Zabierzcie lampę i chodźmy.

Przejrzeli szybko cały dom i nie znaleźli nic, żadnego śladu — nic nie świadczyło tu o walce lub szamotaniu się. Zdawało się, że Staub i księżę znikli sami, z dobrej woli.

— Dziwne! Niepojęte! — mruczał prefekt zaskakując z coraz większą wściekłością pięści.

Zajrzeli do piwnicy. Otworzono ją z trudnością przy pomocy silnej dłoni Pariseta.

— Zupelnie jak wtedy — zauważył Prieur.

W piwnicy nic nie znaleziono. Pozostawał ogródek, położony z tyłu domu. Drzwi wiodące doń były otwarte, jak gdyby umyślnie chciano wskazać drogę policyi. Wszyscy trzej wyszli do ogródka.

I rzeczywiście — prefekt, nachyliwszy się — zobaczył liczne ślady, między którymi poznał od razu olbrzymie odciski stóp rudego mężczyzny i delikatny ślad kobiety o zielonych oczach. Obok widać było jeszcze ślady dwu rodzaj; stopy mężczyzny średniego wzrostu i szerokiej podeszwy amerykańskiego trzewika.

Czyżby to były ślady Stauba i księcia? Wydawało się to niemożliwością. Wszystkie te ślady prowadziły do położonego w głębi ogródka muru, o który oparta była niewielka drabinka.

Tuż obok muru prefekt ujrzał wśród liści zwiedzionych begonii coś błyszczącego. Schylił się szybko i podniósł mały elegancki portfel z rosyjskiej skóry ze srebrną skówką, na której wryty był monogram „B. H“. Drżącą ręką otworzył portfel — znalazł wewnątrz tylko kilka kart wizytowych z nazwiskiem: „Prinz von Burg Hausen“.

— Coraz lepiej! Coraz lepiej! — mruknął do siebie. — Więc księżę przeszedł tedy z dobrej woli? Niemożliwe!

I dodał, zwracając się do agentów.

— Zgaście lampę i chodźcie za mną — tylko jak najciszej.

Ostrożnie przeszli przez mur i znaleźli się w ogrodzie Niemca Leymanna. Odnaleźli tu te same ślady, które doprowadziły ich wprost do przejścia między pawilonem i granicznym murem. Dalej ślady szły do furtki wejściowej — przybywszy tam, prefekt ujrzał leżący na ziemi biały przedmiot. Była to karta wizytowa, nazwiska nie mógł odczytać z powodu ciemności.

Powrócił więc do przejścia, gdzie mógł bez obawy ściągnięcia czyjejs uwagi zaświecić zapalną.

Tu, przy chwiejącym się świetelku, podniósł kartę do oczu. — Ale zaledwie spojrzął na nią — wyrwało mu się z ust przekleństwo.

Była to karta inspektora Stauba!

— Jakto! — krzyknął, chwytając się za głowę. — Jakto? I Staub także! O! zapłacicie mi za to!...

Jeszcze nie skończył mówić, gdy usłyszał turkot automobilu, zatrzymującego się przed bramą ogrodu.

— O! O! — mruknął — to zaczyna być zajmujące... Cóż to być może?...

I chwyciwszy za ręce swych towarzyszy — stał bez ruchu, powstrzymując oddech — z wyciągniętą głową i nadstawionym uchem.

Z automobilu wyskoczył mężczyzna i rozmawiał półgłosem, z wyraźnym niemieckim akcentem — z kimś, kogo nie można było dojrzeć.

— A więc — zapytał mężczyzna — pani przypuszcza, że niema obawy, żeby odkryli...

— Jestem tego pewna, drogi panie Leymann — odpowiedział z powozu głos kobiety. — Będzie tak, jak i wtedy. Policja przyjdzie za późno. Ta znakomita policja francuska!...

Ostatnim słowem towarzyszył wybuch wesołego, młodego śmiechu i automobil odjechał.

— A! — rzekł do siebie Ducroe z cichą złością — zawsze go podejrywałem. Inaczej być nie może. Ten Leymann, pomimo doskonałych rekomendacji, pomimo świadectwa samego Stauba — brał udział w porwaniu barona. Ale tym razem nie udało mu się...

Mrucząc tak do siebie, naczelnik policyi wyszedł bez szelestu ze swego ukrycia i podszedł do Leymanna w chwili, gdy ten wkładał klucz do drzwi swego mieszkania.

— Dobry wieczór, panie Leymann! — krzyknął mu nad uchem. Niemiec odskoczył i pozostał przez parę sekund bez ruchu, oniemiały ze zdumienia.

Ducroe powtórzył drwiąco:

— Mówię panu dobry wieczór, panie Leymann!

Tamten ochłonął nieco i rzekł nie bez zakłopotania:

— A! co za dziwny żart? Kto pan jesteś?

— Szef bezpieczeństwa.

— Policja! — mruknął Leymann przygnębiony.

— A! A! — zawołał Ducroe z tryumfem — złapałem pana! Coż pan na to powie? He? No, mówże pan!

— Nic nie powiem! — odparł Niemiec z dzi kim uporem.

— Jak się panu podoba — zresztą teraz wiem już wszystko. Pańska odmowa zeznań jest tylko okolicznością obciążającą! Przytem przed chwilą słyszałem pańską rozmowę z tą piękną damą w automobilu.

Leymann zadrżał i potarł w milczeniu ręce.

— Tymczasem, aresztuję pana. Pojedźcie pan ze mną do prefektury, a tam znajdzie się sposób na rozwiązanie panu języka.

I zwracając się do agentów, którzy zbliżyli się — dodał:

— Przytrzymajcie tego ptaszka!

Niemiec szarpał się gwałtownie, chcąc wyrwać się agentom, trzymającym go za ręce. Podczas szamotania się — z kieszeni wypadł mu jakiś przedmiot. Ducroe schylił się błyskawicznie i pochwycił go. Był to notes używany, ściągnięty gumką. Ducroe poznał go na pierwszy rzut oka — był to notes Stauba.

— I teraz jeszcze będziesz pan dowodził — rzekł drwiąco prefekt podsuwając notes pod nos Niemcowi — że nie wie pan, co się stało ze Staubem i księciem?

— Ze Staubem i księciem? — powtórzył Leymann w najwyższym zdumieniu.

— No tak — a może ten notes należy do pana?

— Podniosłem go przed chwilą na chodniku, obok bramy — oznajmił żywo Niemiec.

— Mów pan to komu innemu, mój panie — odparł Ducroe, wzruszając ramionami. — No — dalej... w drogę, nie mam ochoty spędzić tu nocy.

— Muszę przecież uprzedzić żonę! — zaprotestował Leymann, szarpiąc się z agentami.

— Właśnie! Żeby wymyślić razem jakąś historię dowcipną! Znamy się na tem! Nie — ja sam zawiadomię ją jutro rano i pozwolę sobie wybać ją przy tej sposobności.

— A więc dobrze — odparł aresztowany z udanym spokojem. — Jestem w pana mocy, ale uprzedzam, że się na tem nie skończy!

— Mam nadzieję — odpowiedział Ducroe ze złośliwym uśmiechem.

— Poskarżę się swemu konsulowi — ciągnął Leymann groźnym tonem, marszcząc swe gęste rude brwi.

— A! skarż się pan nawet papieżowi, jeżeli to panu robi przyjemność — mruknął prefekt, zniecierpliwiony. Dalej, w drogę!

ROZDZIAŁ XIII.

Bal jubilerów.

Bal jubilerów należał do najwspanialszych w sezonie. Obszerne sale hotelu Continental, rześcicie

oświetlone, zgromadziły wszystkich przedstawicieli tego fachu, z najslawniejszymi, jak Barbese, Bridgeton, Morgenstern, Lacapelle-Marival na czele. Zresztą byli tu wszyscy właściciele wspaniałych sklepów z ulicy Royale, de la Paix i Palais Royal. Barwny tłum poruszał się wesoło w oślepiającym blasku lamp elektrycznych, odbijających tysiącami kolorów w przepysznych klejnotach żon, córek i znajomych jubilerów.

W pewnej chwili, właśnie gdy skrzypce orkiestry kończyły pianissimo walca, przy wejściu do wielkiej sali balowej można było zauważyć poruszenie, zwiastujące przybycie jakiejś znakomitości.

Był to doktor Vanesco. Przyjmowany bardzo chętnie we wszystkich sferach paryskiego świata, Aleksander Vanesco musiał być i na tym balu, nie chcąc obrażać kilkunastu osób, które nadesłały mu zaproszenia. Zresztą w sferze tej miał najbogatszych klientów. Jak zawsze, ukazanie się jego budziło sensację.

Ze stereotypowym uśmieżkiem na ustach doktor posuwał się powoli, ściskając wyciągnięte dłonie. Zatrzymał się na chwilę, żeby złożyć ukłon młodej i pięknej pani Barthès, która przechodziła, wsparta na ramieniu Bridgetona, bogatego jubilera z ulicy Royale.

Był to młody człowiek, około trzydziestu lat, o wygolonej, delikatnej twarzy, wzbudzającej sympatię otwartym spojrzeniem niebieskich oczu i miłym uśmiechem.

— A! doktor! Jednakże pan przyszedł? — zawołała, wdzięcząc się, pani Barthès, podczas gdy Vanesco schylił się dla ucałowania jej ręki.

— Jakto „jednakże“? — zapytał, prostując się.

— No, w każdym razie późno pan przychodzi.

— O! późno... — odparł Vanesco, spoglądając na zegarek — dopiero jedenasta... W każdym razie pozwól mi pani przyłączyć się do tłumu swych wielbicieli.

I rzucił okiem w stronę Bridgetona, który był bardzo roztargniony i zdawał się szukać kogoś na sali.

— Zostaw pan Bridgetona w spokoju — odpowiedziała pani Barthès. — Widzi pan przecie, że dziś myśli jego są na księżycu...

I wybuchnęła wesołym śmiechem, ukazując szereg zębów, równych i białych jak perły, wystawione w witrynie jej męża.

— Na księżycu? — zapytał Anglik, z trudnością usiłując wziąć udział w rozmowie, podczas gdy myśli jego bujały daleko.

— Naturalnie, mój drogi, przecież to widać od razu. I uderzając wachlarzem po rękę doktora, który patrzył w kierunku wzroku Bridgetona, poczęła iść w stronę bocznej salki,

— Muszę to panu opowiedzieć, doktorze, inaczej nie zrozumie pan zachowania się mego towarzysza — mówiła po drodze. — Otóż Bridgeton został olśniony, oszołomiony i od jednego spojrzenia zakochał się na zabój. Tak jest zawsze z tymi Anglikami. Rzadko się kochają, ale jeżeli przytrafi się im coś podobnego, tracą głowę. Ale, zdaje mi się, że pan mnie nie słucha.

— Przeciwnie... — rzekł Vanesco, ogłuszony potokiem słów młodej kobiety.

— Niech się pan lepiej przyzna... Zresztą wytłumaczę panu zaraz obszernej. Niech mi pan poda rękę. Zwracam panu wolność, panie Bridgeton, sądzę, że nie będzie się pan bardzo gniewał.

Anglik nie dał sobie powtórzyć tego dwa razy i skłoniwszy się głęboko, pospiesznie odszedł.

Pani Barthès weszła z doktorem do małego saloniku, gdzie w tej chwili nikogo nie było, usiadła na kanapce pod wspaniałą palmą i ciągnęła przerwane wyjaśnienia.

— Czy wie pan, kto na dzisiejszym balu najbardziej zajmuje wszystkich?

Doktor zaprzeczył ruchem.

— A więc, niech pan sobie wyobrazi, prześliczna osobka! I nikt nie wie, kto to i skąd przybywa, nikt z nas nigdy jej nie widział... spadła nam jak z nieba... Mimo to jest czarująca i wcale nie dziwię się, że wszystkim od razu zawróciła głowę.

Vanesco patrzył na młodą kobietę z zaciekawieniem.

— Może pan ją zna?

— Musiałbym ją zobaczyć, a przecież dopiero co przyszedłem.

— Pokażę ją panu, a pan, znając wszystkich w Paryżu...

— O! wszystkich! — rzekł skromnie doktor.

— Ależ tak! tak! wszystkich! A! właśnie zachynają walca, do którego mnie pan zaprosił.

Rzeczywiście rozległy się pierwsze tony nowego walca.

— Chodźmy! — rzekła, wstając pospiesznie i podając rękę lekarzowi.